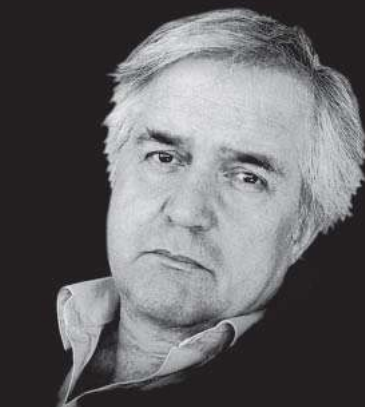
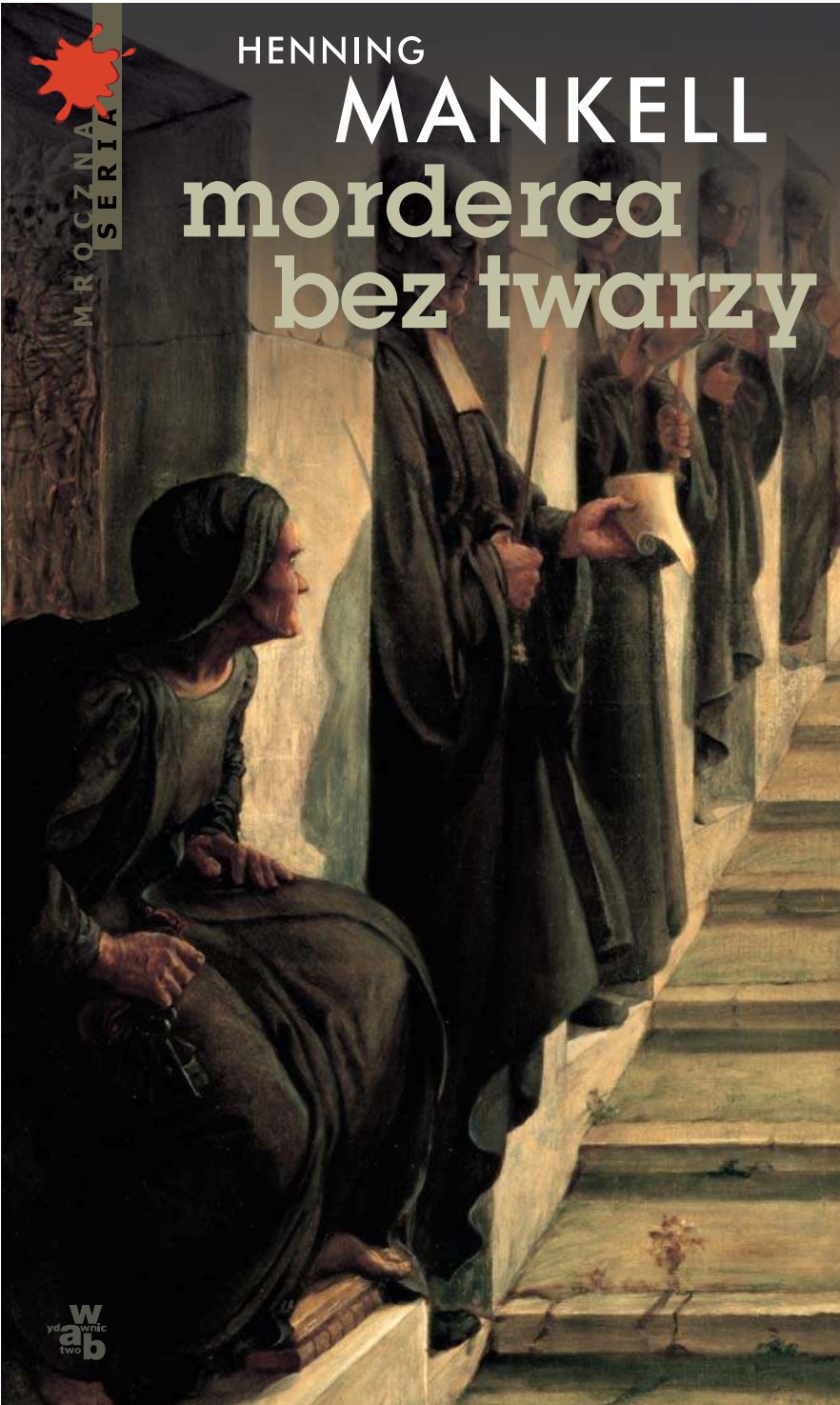


HENNING

MANSELL

morderca  
bez twarzy

MROCCZNA  
SERIA



**Henning Mankell** (ur. 1948), jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich. Zastąpił serią publikowanych od 1991 roku powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Wallander. Stały się one bestsellerami nie tylko w Szwecji, na całym świecie osiągnęły łączny nakład ponad szesnastu milionów egzemplarzy; doczekały się przekładów na dwadzieścia pięć języków i wielu ekranizacji, w tym trzynastoodcinkowego serialu telewizyjnego (2004). Mankell to także autor powieści o tematyce społecznej, m.in. *Comédia infantil* (wyd. pol. w przygotowaniu), książek dla dzieci i młodzieży, dziennikarz, dramaturg i reżyser teatralny. Jego twórczość przyniosła mu wiele nagród, m.in. Nagrodę Astrid Lindgren (1996) i prestiżową niemiecką Nagrodę Tolerancji (2004). Mieszka na przemian w Szwecji i w Mozambiku. Nakładem W.A.B. ukazało się dotychczas siedem jego powieści kryminalnych: *Fałszywy trop* (2002), *Piąta kobieta* (2004), *Morderca bez twarzy* (2004), *Biała lwica* (2005), *O krok* (2006), *Psy z Rygi* (2006), *Mężczyzna, który się uśmiechał* (2007). Wkrótce – *Ściana ognia*.

HENNING

**MANSELL**

---

**morderca  
bez twarzy**

w serii:

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

HENNING

**MAN KELL**

---

**morderca  
bez twarzy**

przełożyła ANNA MARCINIĄKÓWNA

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Mördare utan ansikte*

Copyright © 1991 by Henning Mankell

Published by agreement with Ordfronts Förlag AB, Stockholm and  
Leonhardt & Høier Literary Agency aps, København

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Wydanie I  
Warszawa 2006

# 1

O czymś zapomniał, budzi się i wie to z całą pewnością. Zapomniał o czymś, co mu się w nocy śniło. O czymś, co powinien pamiętać.

Próbuje sobie przypomnieć. Ale sen jest jak czarna dziura. Jak studnia, która nie ujawnia swojej zawartości.

Na pewno jednak nie śniłem o bykach, myśli. Bo byłbym taki spocony, jakby mnie w nocy trawiła gorączka. Tej nocy byki zostawiły mnie w spokoju.

Leży bez ruchu w ciemnościach i nasłuchuje. Oddech żony u jego boku jest tak słaby, że ledwie go wyczuwa.

Któregoś ranka będzie przy mnie leżeć martwa, a ja nawet tego nie zauważę, myśli. Albo ja będę leżeć martwy. Jedno z nas umrze wcześniej niż drugie. Któryś brzask będzie oznaczał, że jedno z nas zostało samo.

Patrzy na zegar stojący na stoliku przy łóżku. Świecące wskazówki informują go, że jest za kwadrans piąta.

Dlaczego się obudziłem, myśli. Zwykle śpię do wpół do szóstej. Dzieje się tak od ponad czterdziestu lat. Dlaczego w takim razie teraz nie śpię?

Nasłuchuje w ciemnościach i nagle jest kompletnie rozbudzony.

Coś jest inaczej. Coś się zmieniło.

Ostrożnie, po omacku, przysuwa jedną rękę do twarzy żony. Wyczuwa palcami ciepło. A zatem nie umarła. Zatem jeszcze żadne z nich nie zostało samo.

Wciąż nasłuchuje w ciemnościach.

Koń, przychodzi mu do głowy. Koń nie rży. To dlatego się obudziłem. Kobyła ma zwyczaj hałasować po nocy. Słyszę to przez sen, nie budzi mnie, moja podświadomość wie, że mogę spać dalej.

Ostrożnie podnosi się na skrzypiącym łóżku. Mają to łóżko od czterdziestu lat. To jedyny mebel, jaki kupili po ślubie. I jest to jedyne łóżko, jakie będą mieć w tym życiu.

Czuje rwący ból w lewym kolanie, kiedy idzie po drewnianej podłodze prosto do okna.

Jestem stary, myśli. Stary i zużyty. Każdego ranka, gdy otwieram oczy, jestem tak samo przerażony tym, że już skończyłem siedemdziesiąt lat.

Wygląda na dwór w zimową noc. Jest 8 stycznia 1990 roku i tej zimy w Skanii nie spadło jeszcze ani trochę śniegu. Lampa przed wejściowymi drzwiami rzuca blask na ogród, na przemarznięty kasztan i leżące za ogrodzeniem pola. Mężczyzna mruży oczy i spogląda w stronę sąsiedniej zagrody, gdzie mieszkają Lövgrenowie. Biały, długi a niski dom spowijają ciemności. Nad czarnymi drzwiami do stajni, ustawionej pod kątem prostym do domu mieszkalnego, świeci się bladożółta lampa. To tam kobyła stoi w swoim boksie i to stamtąd po nocach dochodzi jej niespokojne rżenie.

Stary człowiek wciąż nasłuchuje w ciemnościach.

Łóżko za jego plecami skrzypi.

- Co ty robisz? - mamrocze żona.

- Śpij - odpowiada. - Chciałem rozprostować nogi.

- Bolał cię?

- Nie.

- No to śpij! Nie wystawaj na zimnie, bo się przeziębisz.

Słyszy, jak żona odwraca się na drugi bok.

Był czas, kiedyśmy się kochali, myśli. Ale broni się przed tym. To zbyt piękne słowo.

Kochać. To nie jest słowo dla takich jak my. Człowiek, który przez ponad czterdzieści lat był chłopem i pochylał się w znoju nad ciężką, gliniastą skańską ziemią, nie wypowiada takich słów, kiedy mówi o swojej żonie. W naszym życiu miłość zawsze była czymś innym...

Przygląda się domowi sąsiadów, mruży oczy, próbuje przebić się wzrokiem przez mrok zimowej nocy.

Rzyj, myśli. Rzyj w tym swoim boksie, żebym wiedział, że wszystko jest jak zawsze. I żebym mógł się jeszcze na chwilę położyć pod ciepłą kołdrą. Dzień emerytowanego rolnika i tak jest wystarczająco długi i beznadziejny.

Raptem zdaje sobie sprawę, że obserwuje kuchenne okno sąsiadów. Coś tam jest nie tak. Przez te wszystkie lata spoglądał codziennie na okna swoich sąsiadów. I teraz nagle coś tam wygląda zupełnie inaczej. A może to tylko ciemność go zwodzi? Przymyka oczy i liczy do dwudziestu, by wzrok odpoczął. Potem znowu spogląda na okno i teraz nie ma już wątpliwości, że jest ono otwarte. Okno, które zawsze w nocy było zamknięte, teraz jest otwarte. I kobyła nie rżała...

Kobyła nie rżała, ponieważ stary Lövgren nie odbył swojego zwykłego nocnego spaceru do stajni, kiedy dała o sobie znać prostata i wygoniła go z ciepłego łóżka...

To przywidzenie, powiada sam do siebie. Wzrok mam zmacony, wszystko jest jak zawsze. Co by się właściwie mogło tutaj stać? W tej małej wiosce Lenarp, trochę na północ od Kadesjö, po drodze do pięknego Krageholmssjön, w samym sercu Skanii? Tutaj nic się nie dzieje. Czas stanął w miejscu w tej wiosce, w której życie toczy się niczym strumyk pozbawiony energii i woli. Mieszka tu kilku starych gospodarzy, którzy swoją ziemię sprzedali albo wydzierżawili innym. Żyjemy sobie tutaj i czekamy na to, co nieuniknione...

Ponownie spogląda na kuchenne okno i myśli, że ani Maria, ani Johannes Lövgren nie zapomnieliby go zamknąć. Z wiekiem rozrasta się też w człowieku podstępny strach, zamków wciąż przybywa, i nikt nie zapomina pozamykać



okien przed zapadnięciem nocy. Starość oznacza też strach. Ów strach przed czającymi się gdzieś zagrożeniami, który odczuwało się jako dziecko, powraca, kiedy człowiek się starzeje...

Mógłbym się ubrać i wyjść, myśli. Pokuśtykać przez ogród, czując na twarzy podmuchy zimowego wiatru, podejść do płotu dzielącego nasze zagrody. Przekonać się na własne oczy, że to przywidzenie.

Postanawia jednak zostać w domu. Wkrótce Johannes wstanie z łóżka i zacznie gotować poranną kawę. Najpierw zapali lampę w toalecie, a potem lampę w kuchni. Wszystko odbędzie się tak jak zawsze...

Stoi przy oknie i czuje, że marznie. Starczy chłód, który podpełza do człowieka nawet w najcieplejszym ze wszystkich pokoi. A on wciąż myśli o Marii i Johannesie. Z nimi też właściwie żyliśmy jak w małżeństwie, myśli, i jako sąsiedzi, i jako rolnicy. Pomagaliśmy sobie nawzajem, dzieliliśmy troski w najtrudniejsze lata. Ale dzieliliśmy ze sobą również to dobre życie. Wspólnie obchodziliśmy noce świętojańskie i wspólnie jadaliliśmy kolacje wigilijne. Nasze dzieci biegały między obiema zagrodami, jakby były wspólne. A teraz dzielimy naszą długą, niekończącą się starość.

Nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, otwiera okno. Ostrożnie, by nie obudzić śpiącej Hanny. Mocno zaciska palce na haczyku, bojąc się, by podmuch zimowego wiatru nie wyrwał mu okna z ręki. Ale na zewnątrz jest cicho i teraz przypomina sobie, że w radiu nic nie wspominali o niepogodzie nad skańskimi równinami.

Wygwieżdżone niebo wznosi się nad ziemią czyste, jest bardzo zimno. Już ma zamknąć okno, kiedy wydaje mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Nasłuchuje, odwraca się tak, by lewe ucho znalazło się od strony okna. Jego dobre ucho, w przeciwieństwie do prawego, w którym utracił słuch w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w dusznych kabinach hałaśliwych traktorów.

Jakiś ptak, myśli. To krzyczy jakiś nocny ptak.

Potem ogarnia go strach. Lęk pojawia się nie wiadomo skąd i wprawia go w drżenie.

Bo wydaje się, jakby wołał człowiek. Człowiek, który w rozpaczy pragnie dotrzeć do innych ludzi.

Głos, który wie, że musi się przedrzeć przez grube kamienne ściany, by wzbudzić uwagę sąsiadów...

Przywidziało mi się, myśli znowu. Przecież nikt nie woła. Zresztą kto by to miał być?

Zamyka okno tak gwałtownie, że jedna z doniczek spada na podłogę i Hanna się budzi.

- Co ty wyprawiasz? - pyta, a on słyszy, że jest zirytowana.

Kiedy musi jej odpowiedzieć, nagle nabiera pewności.

- Kobyła nie rzy - mówi, siadając na brzegu łóżka. - A kuchenne okno u Lövgrenów jest otwarte. I ktoś woła.

Hanna siada na posłaniu.

- Co ty wygadujesz?

On nie chciałby odpowiadać, ale teraz jest już pewien, że to, co słyszał, to nie był krzyk ptaka.

- To Johannes albo Maria - mówi. - To któreś z nich wzywa pomocy.

Hanna wstaje z łóżka, podchodzi do okna, wysoka i tęga stoi w swojej białej nocnej koszuli i patrzy w ciemność.

- Kuchenne okno nie jest otwarte - mówi szeptem. - Ono jest wybite.

Mąż podchodzi do niej, teraz marznie tak, że cały się trzęsie.

- Ktoś wzywa pomocy - mówi Hanna drżącym głosem.

- Co robić? - pyta jej mąż.

- Musisz tam iść - odpowiada Hanna. - Pospiesz się!

- Ale jeżeli to coś niebezpiecznego?

- Mamy nie pomóc naszym najlepszym przyjaciółom, jeżeli coś się stało?

Stary ubiera się pospiesznie. Bierze latarkę, która stoi na półce obok bezpieczników i puszek z kawą. Gliniasta ziemia

pod jego stopami jest zamarznięta. Kiedy się odwraca, w oknie widzi Hannę.

Koło płotu przystaje. Wokół panuje kompletna cisza. Widzi już wyraźnie, że okno kuchenne zostało wybite. Ostrożnie przechodzi przez niski płot i zbliża się do białego domu. Ale teraz żaden głos nie woła.

Przywidziało mi się, myśli znowu. Jestem stary dziad, który już nie rozróżnia, co się dzieje naprawdę, a co mu się tylko wydaje. A może jednak byki mi się śniły dzisiejszej nocy? Ten dawny sen o bykach biegnących prosto na mnie, który mi uświadomił, że kiedyś będę musiał umrzeć...

Wtedy ponownie słyszy wołanie. Jest słabe, bardziej jęk niż krzyk. To Maria.

Podchodzi więc do okna sypialni i zagląda ostrożnie przez szczelinę między firanką a okienną ramą.

Nagle wie, że Johannes nie żyje. Kieruje do wnętrza światło latarki, a sam mruga kilkakrotnie, zanim zdobywa się na odwagę, by spojrzeć w głąb pokoju.

Maria siedzi na podłodze, mocno przywiązana do krzesła. Ma zakrwawioną twarz, a jej sztuczna szczęka, połamana, leży na zabrudzonej nocnej koszuli.

Później dostrzega jedną stopę Johannaesa. Widzi tylko tę stopę. Resztę ciała zasłania firanka.

Odwraca się i kuśtyka z powrotem do płotu. Kolano rwie okropnie, bo nieostrożnie potknął się na jakiejś grudzie.

Najpierw dzwoni na policję.

Potem z szafy, w której pachnie naftaliną, wyjmuje łom.

- Zostań - mówi do Hanny. - Nie powinnaś tego oglądać.

- Ale co się tam stało? - pyta kobieta, bliska płaczu z przerażenia.

- Jeszcze nie wiem - odpowiada mąż. - Ale obudziłem się, bo kobyła dzisiejszej nocy nie rżała. To wiem z całą pewnością.

Jest 8 stycznia 1990 roku.

Jeszcze nie zaczęło świtać.

Zgłoszenie telefoniczne zostało zarejestrowane na policji w Ystad o godzinie piątej trzynastej. Przyjął je wymęczony policjant, który pełnił służbę niemal nieprzerwanie od sylwestra. Słuchał jękającego się głosu i myślał, że to pewnie jakiś starzec z zaburzeniami umysłowymi. Mimo to coś jednak przykuło jego uwagę. Zaczął zadawać pytania. Kiedy rozmowa dobiegła końca, zastanawiał się tylko przez moment, nim ponownie uniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znał na pamięć.

Kurt Wallander spał. Minionego wieczora siedział zbyt długo i słuchał nagrań Marii Callas, które znajomy przysłał mu z Bułgarii. Raz po raz wracał do jej *Traviaty* i gdy się w końcu położył, dochodziła druga. Kiedy teraz dzwonek telefonu wyrwał go ze snu, zatopiony był głęboko w erotycznych marzeniach. By się przekonać, że to wszystko mu się tylko śniło, wyciągnął rękę i poklepał koldrę obok siebie. Niestety, znajdował się w łóżku sam. Nie było przy nim ani żony, która opuściła go trzy miesiące temu, ani tej ciemnoskórej kobiety, z którą przed chwilą we śnie miał odbyć namiętny stosunek.

W tym samym momencie, gdy wyciągał rękę po słuchawkę telefonu, spojrzął na zegarek. Wypadek samochodowy, pomyślał. Gołoledź i ktoś, kto pędził za szybko po E14, wylądował w rowie. Albo awantura z uchodźcami, którzy przybyli do Szwecji porannym promem z Polski.

Uniósł się na posłaniu i przycisnął słuchawkę do piekącego pod zarostem policzka.

- Wallander!

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

- Nie, do cholery. Nie śpię.

Dlaczego człowiek kłamie? Zastanawiał się. Dlaczego nie mówię tak, jak jest. Że najchętniej wróciłbym do przerwane go snu i próbował pograć się znowu w tamtym marzeniu o nagiej kobiecie?

- Pomyślałem, że powinienem zadzwonić do ciebie.

- Wypadek samochodowy?

- No, nie, nie całkiem. Telefonował jakiś stary gospodarz, który mówił, że nazywa się Nyström i mieszka w Lenarp. Opowiadał, że jego sąsiadka siedzi związana na podłodze i że ktoś nie żyje.

Wallander intensywnie myślał, gdzie może być to Lenarp. Gdzieś w pobliżu Marsvinsholm, w niebywale jak na Skanię pofałdowanej okolicy.

- To brzmi poważnie. Pomyślałem, że najlepiej będzie zadzwonić prosto do ciebie.

- Kogo masz teraz w komendzie?

- Peters i Norén są na mieście, szukają kogoś, kto wybił okno w Continentalu. Mam ich odwołać?

- Powiedz im, żeby jechali do skrzyżowania między Kadestjö i Katslösa i niech tam czekają. Daj im adres. Kiedy było to zgłoszenie?

- Parę minut temu.

- Ten, który dzwonił, na pewno nie był pijany?

- Nie wyglądało na to.

- No dobra.

Ubrał się, nie biorąc prysznic, wypił filiżankę letniej kawy, która została w termosie od wczoraj. Wyglądał przy tym przez okno. Mieszkał na Mariagatan, w centrum Ystad, fasada domu naprzeciwko była szara i popękana. Zastanawiał się przez chwilę, czy też śnieg spadnie tej zimy w Skanii. Miał nadzieję, że nie. Śnieżne zadymki w Skanii zawsze oznaczają niekończący się nawał roboty. Wypadki samochodowe, odcięte od świata kobiety, które zaczynają rodzić, samotni staruszkowie, do których nie można dojechać, i różni połamańcy, których trzeba zbierać ze śliskich ulic. Śnieżne zamiecie oznaczają chaos, a Wallander czuł, że tej zimy jest raczej kiepsko przygotowany na spotkanie z czymś takim. Poczucie klęski po odejściu żony wciąż jeszcze paliło w piersiach.

Jechał Regementsgatan, dotarł do Österleden. Przy Dragongatan trafił na czerwone światło i włączył radio, by wysłuchać wiadomości. Czyjś podniecony głos opowiadał o samolocie, który rozbił się nad odległym kontynentem.

*Jest czas życia i czas śmierci*, pomyślał, próbując zetrzeć z oczu resztki snu. To było zakłęcie, które ułożył sobie wiele lat temu. Był wtedy młodym policjantem i patrolował ulice w rodzinnym Malmö. Któregoś dnia pijany mężczyzna, którego próbowali usunąć z parku Pildamm, nagle wyciągnął wielki rzeźnicki nóż. Wallander otrzymał głęboki cios tuż obok serca. Zaledwie parę milimetrów dzieliło go od nieoczekiwanej śmierci. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata i było to pierwsze poważne ostrzeżenie, co to znaczy być policjantem. Od tamtej pory zakłęcie stanowiło jego obronę przed niepotrzebnymi wspomnieniami.

Wydostał się z miasta, minął nowo zbudowany wielki dom meblowy przy wjeździe i dostrzegł morze, rozciągające się daleko przed nim. Morze było szare i niebywale spokojne jak na środek skańskiej zimy. W oddali na horyzoncie rysowała się sylwetka statku, zdążającego na wschód.

Śnieżne zadymki jednak nadejdą, pomyślał.

Prędzej czy później będziemy je tu mieć.

Wyłączył samochodowe radio i próbował skupić się na tym, co go czeka.

Co właściwie wiedział?

Stara kobieta, związana, na podłodze? Jakiś człowiek, który twierdzi, że widział ją przez okno? Mijając zjazd w stronę Bjäresjö, przyspieszył i uznał, że to chyba jednak jakiś starzec, któremu nagle skleroza ożywiła wyobraźnię. W ciągu wielu lat swojej policyjnej kariery nieraz miał okazję się dowiedzieć, do czego starzy, żyjący w izolacji ludzie mogą używać policji, jako ostatniego wołania o pomoc.

Policyjny samochód czekał na niego przy bocznej drodze na Kadesjö.

Peters wysiadł i obserwował zająca, który spokojnie kicał sobie po polu.

Kiedy Peters zobaczył Wallandera, zbliżającego się swoim niebieskim peugeotem, uniósł rękę na powitanie i wrócił za kierownicę.

Przemarznięta, pokryta grudami ziemia chrzęściła pod kołami. Kurt Wallander jechał za samochodem policyjnym. Minęli rozjazd na Trunnerup, pokonali parę stromych wzniesień i znaleźli się w Lenarp. Skręcili w wąską polną drogę, niewiele szerszą niż zwyczajny ślad traktora. Przejechali jeszcze kilometr i byli na miejscu. Dwie zagrody, jedna obok drugiej, dwa bielone wapnem zabudowania w otoczeniu wypielegnowanych ogródków.

Starszy mężczyzna szedł im pospiesznie na spotkanie. Kurt Wallander zauważył, że stary utyka, jakby mu dokuczał ból kolana.

Kiedy wysiadł z samochodu, stwierdził, że zaczęło wiać. Może mimo wszystko nadciąga śnieżycą?

Gdy tylko zobaczył tamtego człowieka, wiedział, że czeka go coś naprawdę strasznego. Z oczu mężczyzny wyzierała trwoga, której nie można sobie wyobrazić.

- Wyważyłem drzwi - powtarzał niespokojnie, raz za razem. - Wyłamałem drzwi, bo przecież musiałem zobaczyć. Ale ona wkrótce umrze, ona też umrze...

Weszli przez te wyważone drzwi. Cierpki zapach starych ludzi uderzał w nozdrza. Tapety były bardzo zniszczone, Kurt Wallander musiał mrużyć oczy, by coś widzieć w mroku.

- No to co się tutaj stało? - spytał.

- Tam, w środku - odpowiedział mężczyzna.

A potem zaczął płakać.

Trzej policjanci spoglądali po sobie w milczeniu.

Kurt Wallander pchnął drzwi czubkiem buta.

Było gorzej, niż sobie wyobrażał. Dużo gorzej. Później Kurt Wallander będzie opowiadał, że to najgorsze, co kiedykolwiek widział. A przecież widział sporo.

Sypialnia była dosłownie zalana krwią. Nawet porcelanowa lampa wisząca u sufitu została obryzgana. Na łóżku,

głową naprzód, leżał stary mężczyzna z nagim torsem i w ściągniętych częściowo długich kalesonach. Twarz była zmasakrowana nie do poznania. Zupełnie, jakby ktoś chciał mu odciąć nos. Ręce miał związane na plecach, lewe udo złamane. Z krwawej masy sterczała biała kość.

- O, do diabła - jęknął Norén za plecami Wallandera, a on sam poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Ambulans - wykrztusił, z trudem przelękając ślinę. - Szybko! Jak najszybciej...

Potem pochylił się nad kobietą, półleżącą na podłodze, przywiązaną do krzesła. Ten, kto ją wiązał, zacisnął na jej chudej szyi pętlę. Biedaczka ledwo mogła oddychać i Kurt Wallander zawołał do Petersa, by znalazł czym prędzej jakiś nóż. Poprzecinali cienki sznur, który wpił się głęboko w jej nadgarstki i szyję, a potem ostrożnie ułożyli kobietę na podłodze. Kurt Wallander trzymał jej głowę na kolanach.

Popatrzył na Petersa i stwierdził, że obaj myślą o tym samym: Kto mógł być aż tak okrutny, żeby zrobić coś podobnego? Zacisnąć pętlę na szyi starej bezbronnej kobiety?

- Niech pan zaczeka na dworze - powiedział Wallander do płaczącego mężczyzny, który wciąż stał na progu. - Niech pan tam zaczeka i niczego nie rusza.

Stwierdził, że nie mówi, ale krzyczy.

Zawsze krzyczę, kiedy się boję, pomyślał. Na jakim świecie my żyjemy?

Minęło niemal dwadzieścia minut, zanim przyjechało pogotowie. Oddech kobiety stawał się coraz bardziej nieregularny i Kurt Wallander zaczynał się obawiać, że na pomoc może być za późno.

Poznał kierowcę ambulansu, Antonsona, natomiast sanitariusz był młodym mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widział.

- Cześć! - przywitał się Wallander. - Mężczyzna nie żyje, ale ona jeszcze oddycha. Spróbujcie podtrzymać ją przy życiu.

- A co tu się stało? - spytał Antonson.



– Mam nadzieję, że ona będzie nam mogła odpowiedzieć, jeśli przeżyje. A teraz się pospieszcie!

Kiedy ambulans zniknął na zwirowej drodze, Kurt Wallander i Peters wyszli na dwór. Norén ocierał twarz chusteczką do nosa. Świt z wolna podpełzał do zabudowań. Kurt Wallander spojrział na zegarek. Za dwie wpół do ósmej.

– To po prostu rzeźnia – jęknął Peters.

– Gorzej – powiedział Wallander. – Zadzwoń i wezwij tu całą ekipę. Powiedz Norénowi, żeby zamknął dom. Ja tymczasem pójdę porozmawiać z tym sąsiadem, który ich znalazł.

Dokładnie w chwili, gdy wymawiał ostatnie słowo, usłyszał coś, co zabrzmiało jak krzyk. Drgnął, a wtedy krzyk się powtórzył.

Wallander zdał sobie sprawę, że to rzenie konia.

Poszedł do stajni i otworzył drzwi. W mrocznym wnętrzu koń wiercił się niespokojnie w swoim boksie. Pachniało ciepłym nawozem i uryną.

– Daj koniowi siana i wody – powiedział Wallander.

– W obejściu są pewnie jeszcze jakieś inne zwierzęta.

Kiedy wyszedł ze stajni, przeniknął go dreszcz. Czarne ptaki wrzeszczały na samotnym drzewie, daleko stąd, na polu. Wciągnął głęboko do płuc lodowate powietrze i stwierdził, że wiatr przybiera na sile.

– Pan się nazywa Nyström? – zwrócił się do starogo, który już przestał płakać. – Teraz musi pan opowiedzieć, co się tutaj stało. Jeśli dobrze rozumiem, mieszka pan tutaj, po sąsiedzku?

Tamten potwierdził skinieniem głowy.

– I co to się stało? – spytał drżącym głosem.

– Mam nadzieję, że pan mi to powie – powtórzył Kurt Wallander. – Może moglibyśmy pójść do pana do mieszkania?

W kuchni na krzeselku siedziała skulona kobieta w staroświeckim szlafroku. Ale gdy tylko Kurt Wallander się przedstawił, wstała i zaczęła gotować kawę. Obaj mężczyźni usiedli przy kuchennym stole. Wallander patrzył na świątecz-

ne ozdoby, które wciąż jeszcze wisały w oknie. Na parapacie leżał stary kot i nie spuszczał oka z gościa. Wallander wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać.

- On gryzie - ostrzegł gospodarz. - Nie przywykł do ludzi. Widuje tylko mnie i Hannę.

Kurt Wallander pomyślał o żonie, która go opuściła, i zastanawiał się, od czego tu zacząć. Bestialskie morderstwo, myślał. A jeśli szczęście nam nie dopisze, to wkrótce będziemy mieć podwójne bestialskie morderstwo.

Nagle zaczął się nad czymś zastanawiać. Zastukał w szymbę do stojącego na zewnątrz Noréna.

- Przepraszam na moment - rzekł do gospodarza i wstał.

- Koń nakarmiony - raportował Norén. - Innych zwierząt nie znalazłem.

- Załatw, żeby ktoś pojechał do szpitala - powiedział Kurt Wallander. - Na wypadek gdyby ona odzyskała przytomność. Na wypadek gdyby coś mówiła. Musiała przecież widzieć.

Norén kiwnął głową.

- Poślij kogoś z dobrym słuchem - dodał Wallander. - I najlepiej żeby czytał z ruchu warg.

Kiedy wrócił, zdjął kurtkę i położył ją na kuchennej leżance.

- No to proszę opowiadać - rzekł. - Proszę opowiadać i niczego nie pomijać. Mamy czas, nie trzeba się spieszyć.

Po dwóch filiżankach słabej kawy pojął, że ani Nyström, ani jego żona nie mają niczego ważnego do powiedzenia. Poznał jedynie historię życia poszkodowanego małżeństwa i dowiedział się, o której godzinie coś zaniepokoiło sąsiadów.

Pozostały jeszcze dwa pytania.

- Nic państwu nie wiadomo, czy oni nie przechowywali w domu jakiejś większej sumy pieniędzy? - spytał.

- Nie - zaprzeczył Nyström. - Wszystko wkładali do banku. Emerytury też. Kiedy sprzedali ziemię, zwierzęta i maszyny, pieniądze oddali dzieciom.

Drugie pytanie wydało mu się bez sensu. Mimo to je zadał, w tej sytuacji nie miał wyboru.

- Nie wiecie państwo, czy mieli jakichś wrogów?

- Wrogów?

- No, kogoś takiego, kogo można by podejrzewać, że to zrobił.

Wyglądało na to, że gospodarze nie do końca rozumieją, o co chodzi.

Wallander powtórzył więc pytanie.

Tamci wciąż spoglądali na niego zdezorientowani.

- Tacy jak my nie mają wrogów - odpowiedział mężczyzna. Wallander odniósł wrażenie, że starszy człowiek poczuł się urażony. - Zdarza się czasem, że się przemówimy. O utrzymanie drogi albo o granice pastwiska. Ale nie mordujemy się nawzajem.

Wallander skinął głową.

- Wkrótce znowu się odezwę - rzekł i wstał z płaszczem w ręce. - Gdyby któreś z państwa przypomniało sobie coś więcej, proszę zadzwonić na policję. Pytajcie o mnie. Nazywam się Kurt Wallander.

- A jeżeli oni wrócą...? - wyjąkała kobieta.

Wallander pokręcił głową.

- To na pewno byli rabusie, a tacy nie wracają. Nie trzeba się obawiać.

Czuł, że powinien powiedzieć coś więcej, żeby ich uspokoić. Ale co by to miało być? Jakie poczucie bezpieczeństwa mógłby ofiarować ludziom, którzy właśnie się dowiedzieli, że ich najbliższy sąsiad został brutalnie zamordowany? I którzy musieli liczyć się z tym, że wkrótce może także umrzeć jego żona?

- Jest jeszcze koń - rzekł. - Kto będzie go karmił?

- My - odpowiedział stary. - Kobyła dostanie wszystko, czego potrzebuje.

Wallander wyszedł na dwór, w przejmujący chłód wczesnego poranka. Wiatr wciąż się wzmagał i Wallander musiał się pochylać, kiedy szedł do samochodu. Właściwie

powinien jeszcze zostać i przywitać się z technikami. Był jednak przemarznięty, czuł się marnie, nie chciał tu siedzieć dłużej niż to konieczne. Poza tym widział przez okno, że z technikami przyjechał Rydberg, a to oznacza, że nie zakończą pracy, dopóki nie obróca na wszystkie strony i nie zbadają każdej, najmniejszej nawet grudki gliniastej ziemi na miejscu przestępstwa. Rydberg, który za parę lat miał odejść na emeryturę, był policjantem traktującym swój zawód z wielką pasją. Choć mógłby sprawiać wrażenie człowieka przesadnie pedantycznego i powolnego, zawsze dawał gwarancję, że miejsce przestępstwa zostanie zbadane ściśle według planu.

Rydberg cierpiał na reumatyzm i chodził z laską. Teraz, kuśtykając, szedł przez podwórze na spotkanie Wallandera.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział. - Wnętrze domu to prawdziwa rzeźnia.

- Nie ty pierwszy to mówisz - odparł Kurt Wallander.

Rydberg miał poważny wyraz twarzy.

- Macie jakiś punkt zaczepienia?

Kurt Wallander potrząsnął głową.

- Zupełnie nic? - W głosie Rydberga brzmiała jakby prośba.

- Sąsiedzi niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Myślę, że to zwyczajni włamywacze.

- Nazywasz to obłąkane okrucieństwo zwyczajnym?

Rydberg był poruszony i Kurt Wallander pożałował swoich słów.

- Nie, uważam naturalnie, że to jakieś potworne typy grasowały tu dzisiejszej nocy. W rodzaju tych, co to zajmują się wyszukiwaniem samotnych obejść, gdzie mieszkają samotni starzy ludzie.

- Musimy ich dopaść - powiedział Rydberg. - Zanim znowu uderzą.

- Tak - zgodził się Kurt Wallander. - Nawet gdybyśmy w tym roku nie mieli złapać żadnych innych przestępców, to tych tutaj musimy dopaść.

Wsiadł do samochodu i odjechał z tego okropnego miejsca. Na wąskiej polnej drodze o mało się nie zderzył z innym samochodem, który z wielką szybkością jechał z naprzeciwka. Wallander rozpoznał kierowcę. To dziennikarz pracujący dla dużej gazety o krajowym zasięgu, który ruszał do boju, gdy tylko w okolicach Ystad wydarzyło się coś interesującego dla szerszej publiczności.

Wallander przejechał kilka razy tam i z powrotem przez Lenarp. W oknach paliły się światła, ale ludzi na dworze nie było.

Co też oni sobie pomyślą, kiedy się dowiedzą? – zastanawiał się.

Czuł się okropnie. Widok starej kobiety z pętlą na szyi całkowicie zburzył jego spokój. Niepojęte okrucieństwo. Kto mógł zrobić coś takiego? Dlaczego nie uderzył kobiety siekierą w głowę, żeby w jednej chwili było po wszystkim? Po co te tortury?

Wolno jechał przez niewielką wieś i próbował sobie jakoś poukładać w głowie plan czynności śledczych. Przy skrzywaniu na Blentarp zatrzymał się, włączył ogrzewanie, bo marzył coraz bardziej, a potem siedział bez ruchu i wpatrywał się w horyzont.

To on będzie kierował dochodzeniem, tego był pewien. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Po Rydbergu to on, mimo swoich zaledwie czterdziestu dwóch lat, ma w policji kryminalnej w Ystad najdłuższy staż.

Znaczna część czynności śledczych opierać się musi na rutynie. Badanie miejsca przestępstwa, przesłuchania ludzi mieszkających w Lenarp i przy drogach, którymi przypuszczalnie uciekali napastnicy. Czy ktoś widział coś podejrzanego? Coś niezwykłego? Już brzmiały mu w głowie te wszystkie pytania.

Kurt Wallander wiedział jednak z doświadczenia, że napady rabunkowe na wsi często bywają trudne do wyjaśnienia.

Jedynie, na co miał nadzieję, to że stara kobieta przeżyje.

Ona widziała. Ona wie.

Jeśli jednak umrze, podwójny mord będzie bardzo trudno wyjaśnić.

Wallandera przepętniał niepokój.

Zazwyczaj wzburzenie wyzwalało w nim wielką energię i chęć działania. A ponieważ jest to warunek wszelkiej pracy policyjnej, Wallander uważał, że jest dobrym policjantem. Teraz jednak czuł się zmęczony i niepewny.

Zmusił się do włączenia pierwszego biegu. Samochód toczył się kilka metrów. Potem znowu się zatrzymał.

Jakby dopiero teraz dotarło do niego, co przeżył w ten wczesny zimowy poranek.

Ów bezsensowny, potworny napad na bezbronnych starych ludzi napełniał go przerażeniem.

Stało się coś, co w żadnym razie nie powinno było się tutaj zdarzyć.

Wyjrzał przez okno. Wiatr szarpał drzwiami wozu i gwizdał w szczelinach.

Teraz muszę zacząć, pomyślał.

Jest dokładnie tak, jak mówi Rydberg.

Musimy dopaść tych, którzy to zrobili.

Pojechał prosto do szpitala w Ystad i wsiadł do windy, żeby dostać się na oddział intensywnej opieki medycznej. Na korytarzu natychmiast zauważył młodego aspiranta Martinssona, który siedział na krześle przy jakichś drzwiach.

Kurt Wallander skrzywił się zirytowany.

Czy naprawdę nie mogli już przysłać do szpitala nikogo innego, tylko takiego niedoświadczonego młodzika? I dlaczego on siedzi za drzwiami? Dlaczego nie tkwi przy łóżku chorej, gotów zarejestrować każdy szepot wydobywający się z jej zmasakrowanych warg?

- Hej - powiedział Kurt Wallander. - Co słyszać?

- Kobieta jest nieprzytomna - odparł Martinsson. - Lekarze nie mają chyba wielkich nadziei.

- Dlaczego siedzisz tutaj? Dlaczego nie na sali?

- Powiedzą mi, jakby się coś działo.